

Rok 1670. Szlachcic i najemnik Michał Hieronim Dantyszek zaczyna żałować, że kiedykolwiek dla Rzeczypospolitej walczył i zabijał...

WOJCIECH
DUTKA

WOJNA POLSKA

Epicka opowieść o skazanej na niepamięć
wojnie domowej

LIRA
WYDAWNICTWO

WOJNA POLSKA

WOJCIECH
DUTKA

WOJNA
POLSKA

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2025
ISBN: 978-83-68342-08-6

PROLOG

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE, LUTY 1652

W zamkowej kaplicy na katafalku, którego podpórki wyglądały jak cztery czarne anioły, leżała otwarta trumienka. W niej spoczywały zwłoki dziecka — małego chłopca, którego życie skończyło się po zaledwie kilku tygodniach. Obok trumny stała matka, cała ubrana w przepisaną zwyczajem i religią czerń. Jednak nie nałożyła na głowę czepka ani nawet czarnej przezroczystej woalki, którą utkały dla niej dwórki. To było wyzywające zachowanie — wszak kobiety podczas żałoby powinny chować włosy. Tak powszechnie uważano. Nie był to jednak pierwszy raz, gdy polska królowa rodem z Francji łamała zasady i konwenanse przyjęte w Rzeczypospolitej. Stała jak kamienny posąg z czasów średniowiecza, nieczuła, nieruchomo wpatrywała się w małe ciało otulone w pośmiertny całun. Nie uroniła ani jednej łzy. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Dziecko nie żyło i nic już nie można było zrobić. Nie da się cofnąć śmierci. Chłopczyk był martwy.

Za nią, w odległości metra, może dwóch, stał mężczyzna ubrany po cudzoziemsku, również odziany cały na czarno, w wytwornych spodniach typu *rhingrave*, szerokich i upstrzonych wstążkami. Lniana koszula skryła się pod żałobnym kaftanem wyszywanym w delikatny wzór srebrną nicią, na który narzucił płaszcz z aksamitu. Znakomicie dobrana peruka we francuskim stylu opadała mu na ramiona. Mężczyzna krył twarz w dłoniach.

Bardzo przeżywał śmierć syna i dziedzica, któremu dali imiona Jan Zygmunt. Jeszcze wciąż pamiętał córkę, Marię Annę Teresę, która była przeznaczona Bogu — rodzice zamierzali ją oddać do zakonu karmelitańskiego, żeby rosła blisko Niego, ale On i tak sam zechciał ją zabrać, gdy ledwo rok ukończyła. A teraz stracili drugie dziecko. Nie pobłogosławił im Pan, tak jak nie błogosławi już Rzeczypospolitej.

W pewnej chwili mężczyzna podniósł umęczoną twarz. Nie spał od dwóch dni, od kiedy zaczęła się agonia syna. Jan II Kazimierz, król Polski, wielki książę litewski, pruski, żmudzki, mazowiecki, inflancki, czernichowski i kijowski, a także dziedziczny król Szwedów, Gotów i Wandalów, o czym świadczył gruby srebrny łańcuch noszony na ubraniu, z wyjącem wilkiem. Był to przecież Fenrir, krwawy wilk nordyckich bogów. Swego rodzinnego kraju, Szwecji, i jej korony Wazowie nigdy się nie wyrzekli. Nie śmiał się teraz odzywać do żony, królowej Polski — Ludwiki Marii Gonzagi, pochodzącej z najlepszego domu poza królewskim we Francji, matki, która chowała drugie swoje dziecko w ciągu roku. Jan Kazimierz znał dobrze swą małżonkę. Miała kamienne serce, liczyły się dla niej tylko jego tron w Polsce i uczynienie go dziedzicznym — jak trony wszystkich monarchów w Europie.

— Dantyszek, jesteś ze mną? — szepnęła po polsku król.

Zza monarchy wyszedł, kryjący się dotąd w cieniu zamkowej kaplicy, ubrany z cudzoziemska, niczym sam król, dojrzały elegancki mężczyzna. Trzymał kapelusz w dłoni. W przeciwieństwie do polskiej szlachty, która kochała swoje krzywe szable, nosił szpadę. Jego kaftan,

uszyty z angielskiej wełny tkanej w Antwerpii, ciemnoszary ze srebrnymi guzikami, świadczył o zamożności.

— Do usług Waszej Królewskiej Mości.

— Czy sejm się znów zebrał? — zapytał król.

— Tak, posłowie mają dyskutować nad sprawą Radziejowskiego.

Król westchnął. Ledwo co rok wcześniej zdołał częściowo zatrzymać rozszalałych Kozaków Chmielnickiego pod Beresteczkiem, dowodząc największą armią, jaką zdołała wystawić Rzeczpospolita. Po krwawej rozprawie, po której znów udało się przekupić chana tatarskiego, Polacy wywarli zemstę na Kozakach. Jan Kazimierz narzucił im ugodę w Białej Cerkwi, która ograniczała ich swawolę i rządy tylko do województwa kijowskiego. Tyle się działo, tyle spraw miał król na głowie. A teraz Hieronim Radziejowski, awanturnik, człowiek brutalny, domagał się od niego satysfakcji za uwiedzenie mu żony, Elżbiety ze Słuszków Radziejowskiej, i napadł był na pobliski pałac Kazanowskich, położony w sąsiedztwie zamku królewskiego, gdzie przybywała ciężarna królowa. Konflikt ten był jednak głębszy i trwał już kilka lat. Przez całą tę awanturę, która rozpętała się, gdy wyszedł na jaw romans króla, Ludwika Maria Gonzaga urodziła dziecko słabe i chorowite. Niestety — wkrótce potem zmarło.

— Mężu — powiedziała królowa po francusku.

Po polsku mówiła źle i nigdy podczas oficjalnych spotkań.

— Umiłowana — wyszeptał król.

— Zabij Radziejowskiego. Przyrzeknij mi to — rzekła spokojnie, jak gdyby była to rzecz najzwyczajsza w świecie.

— Zrobię to wedle prawa. Wyrok już jest na sejmie. —
Król wciąż jeszcze wzdrygał się przed metodami żony.

Nagle zwrócił się do stojącego za nimi mężczyzny.

— Dantyszek, czy zdołałeś dopaść Radziejowskiego?

— Nie, Wasza Królewska Mość — odparł szlachcic. —
On uciekł.

— To źle, to bardzo źle...

Nagle królowa odwróciła się od trumny. Utkwiła spojrzenie swoich jasnoniebieskich oczu w szlachcicu, którego tak dobrze znała. Michał Hieronim Dantyszek był jej najbliższym i najbardziej zaufanym człowiekiem, bezwzględny, znakomitym żołnierzem. Jego szpada spłynęła krwią wiele razy podczas zakończonej niedawno wielkiej wojny w Europie, która trwała bez mała trzydzieści lat i obróciła większość terytorium Niemiec, Czech i Śląska w perzynę; nie próżnowała też podczas ostatnich walk z Kozactwem, kiedy powróciwszy do kraju, Dantyszek stanął po stronie króla i nie miał litości dla wrogów. Tych dwoje łączyła tajemnica, o której wiedzieli tylko oni.

Mężczyzna spojrzał jej w twarz. Zobaczył rozpacz.

— Teraz zostaw nas samych z naszym synem — powiedziała po francusku.

Dantyszek skłonił się głęboko i opuścił kaplicę zamkową, do której bezskutecznie próbowali wejść księża i sam arcybiskup warszawski. Jednak królowa nie chciała ich jeszcze wpuścić. Musiała się pogodzić z tym, że jej łono pozostanie już martwe. Dantyszek, wychodząc, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że oto i Rzeczpospolita wkroczyła na ścieżkę ku własnemu pogrzebowi.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Arianin

RAKÓW KOŁO CZĘSTOCHOWY, MAJ 1633

W stolicy intelektualnej polskich arian, Rakowie koło Częstochowy, położonemu w niedalekim sąsiedztwie głównego ośrodka ludowego i zarazem szlacheckiego polskiego katolicyzmu, którym był klasztor Ojców Paulinów na Jasnej Górze, życie toczyło się utartym torem. Arianie polscy — taka sama szlachta — zagłębiali się w swoje subtelności teologiczne i filozoficzne, a byli w tym naprawdę dobrzy. Oczywiście dbali też o swoje majątki. Odrabianie pańszczyzny u arian albo u katolików to dla polskiego chłopca, utrzymanego w ciemności i poddaństwie, doprawdy żadna różnica. Jednak dla Jerzego Wojciecha Dantyszka, szlachcica i potomka znakomitego ongiś Jana Dantyszka, protoplasty rodu, herb był równie ważną częścią tożsamości jak gospodarowanie na niemałym, bo liczącym kilkanaście wsi majątku i realizowanie pasji wydawniczej. Na tej swojej ziemi stary Dantyszek pracował tak samo jak jego włościanie wyzwoleni z pańszczyzny. Herb Dantyszków przedstawiał

białe skrzydło ptasie na czarnym polu oraz na lustrzanej części tarczy herbowej, czarne skrzydło na białym polu. Nie miało już znaczenia, że herb był nobilitacyjny, że ongiś, może za króla Jagiełły, Dantyszkowie byli rodem mieszczańskim z Gdańska, o korzeniach niemieckich.

Jerzy Wojciech Dantyszek był arianinem z urodzenia, choć sam wobec siebie używał bardziej precyzyjnej nazwy — brat polski. I nosił szablę z drewna. Dla braci polskich, wyrzekających się przemocy nawet w obronie swojego kraju, noszenie takiej szabli nie było niczym zdrożnym, ale dla większości szlachty stanowiło dziwactwo — kolejne już — które przechylało szalę niechęci wobec tej niezbyt licznej grupy wyznaniowej. Jej członkowie stanowili elitę i górowali nad innymi zarówno pod względem wykształcenia, jak i znajomości świata — często podróżowali do Anglii, Holandii oraz innych krajów protestanckich. Jednak dla Jerzego Wojciecha Dantyszka oczkiem w głowie był jego syn, Michał Hieronim, urodzony latem 1615 roku, w dwudziestym dziewiątym roku panowania Zygmunta III Wazy w Rzeczypospolitej, w małżeństwie z Joanną Rupniewską herbu Szreniawa, także pochodzącą z rodziny ariańskiej. Gdy chłopak dorósł i nie sposób było go dłużej trzymać pod spódnicą matki, zdecydowano, że czas go posłać na nauki.

✱

Szkoła w Rakowie nie była uniwersytetem i nie miała uprawnień do nadawania stopnia bakałarza ani doktora, ale utrzymywała poziom zgoła najwyższy w całej

Rzeczypospolitej. Rywalizować z nią mogły chyba tylko gimnazja prowadzone przez jezuitów sprowadzonych nad Wisłę przez prymasa Stanisława Hozjusza. To pięcioklasowe gimnazjum z wykładową łaciną, greką, językiem francuskim oferowało szeroki kurs ogólnokształcący jak na tamte czasy. Do Rakowa ściągnięto najlepszych nauczycieli z ówczesnej Europy, a uczniowie — tylko młodzież męska — przybywali z krajów habsburskich, w tym ze Śląska i z Czech, gdzie prześladowano protestantów, a także z Alzacji, z Niemiec ogarniętych szaleństwem wojny religijnej trwającej od 1618 roku. Wszystko to było możliwe dzięki właścicielowi Rakowa, Jakubowi Sienieńskiemu.

Choć prowadzona przez arian, szkoła ta przyjmowała młodzież bez różnicy wyznania, a zdarzało się, że nawet z Krakowa przyjeżdżali studenci, którzy porzucali tamtejszą uczelnię wyższą ze względu na bardzo niski poziom. W Rakowie wykładano politykę, matematykę, geografę oraz filozofię. Język łaciński i grecki były uczane od klasy pierwszej, a po dwu latach intensywnej nauki, w klasie trzeciej, nauczyciele wymagali już pracy z pismami filozofów w oryginale. Najbardziej znanym tekstem, którego wszystkie pięć ksiąg omawiano, był traktat Andrzeja Frycza Modrzewskiego *O naprawie Rzeczypospolitej*, oficjalnie zakazany przez Kościół katolicki, ale w Rakowie jak najbardziej czytany i komentowany przez wszystkich uczniów, także katolików.

Ta otwartość szkoły coraz bardziej jednak przeszkadzała. Fanatyk religijny, bigot i niedawny rokoszanin Mikołaj Zebrzydowski, choć sam wydał majątek na klasztor

w Kalwarii niedaleko Krakowa, płacił niemałe pieniądze za pisanie paszkwili na Akademię Rakowską. Nie mieściło się w głowie imć panu byłemu wojewodzie krakowskiemu, że młodzieńcy katolickiego wyznania mogą ławka w ławkę siedzieć w jednej klasie z młodzieńcami wyznania kalwińskiego, ariańskiego czy też z braćmi czeskimi, wygnanymi przez kataklizm wojenny z sąsiednich Czech. Ponoć miał powiedzieć, że prędzej już szablą po łbie zdzieliłby swojego syna, gdyby ten siadł w ławce szkolnej z heretykami. Jednak czy była to prawda, czy też nieprzychylni Zebrzydowskiemu ludzie opowiadali takie rzeczy — trudno dociec.

W szkole najbliższym kolegą młodego Dantyszka, ku radości jego rodziców, okazał się młody Andrzej Wiszowaty, wnuk Fausta Socyna, najwybitniejszego pośród braci polskich włoskiego humanisty, który w obawie przed prześladowaniami postanowił zamieszkać w tolerancyjnej wówczas Rzeczypospolitej. Chłopcy zaprzyjaźnili się i razem się uczyli. I choć Dantyszek nie ustępował Wiszowatemu pod względem zdolności językowych, to jednak Andrzej w jakiś sposób nad nim górował. Surowy regulamin zabraniał uczniom wychodzenia ze szkoły, posiadania pieniędzy, szwendania się po karczmach, szynkach i tym podobnych podejrzanych lokalach, co stanowiło poważną przeszkodę dla młodych ludzi pragnących zaznać choć trochę wolności. Któregoś dnia wiosną 1633 roku Wiszowaty oświadczył jednak Dantyszkowi:

— Zabieram cię na wycieczkę.

— Mieliśmy czytać *Kronikę wszystkiego świata* Bielskiego...

Cóż się dziwić tej odpowiedzi — w owej ariańskiej szkole klimat intelektualny górował nad wszystkim innym. Ale Wiszowaty, człowiek wielkiej pobożności, rzekł na to bez ogródek:

— Mam nadzieję, że obaczym świata choć trochę wokół nas.

Dantyszek poszedł zatem za przyjacielem. Mnóstwo czytał, ale budziła się w nim wielka tęsknota za tym, aby ujrzeć świat i udzielić sobie samemu odpowiedzi na pytanie, czy rzeczywiście jest taki, jaki się wydaje.

— Gdzie idziemy? — zapytał tylko.

— Obaczysz.

Oczywiście, że wymknęli się obaj ze szkoły. Poszli do wioski nieopodal Rakowa. Kiedy ujrzały ich dzieci włościan, natychmiast uciekły do chat. Wiszowaty podprowadził Dantyszka dalej i weszli razem do jednej z nich.

Rodzina chłopska stała razem na środku izby. Chłop, z kołtunem ze zmierzwionych, tłustych włosów na głowie, patrzył na nich przestraszonymi oczyma, do jego boku tuliła się kobieta. Dzieci, które przed chwilą widzieli na podwórzu, teraz uczepliły się brudnej sukienki matki. Wszyscy byli boso. Młody Dantyszek rozejrzał się — zobaczył klepisko zamiast podłogi, sklecony byle jak z drewna stół; wyczuł w powietrzu przykry zapach zwierzęcy. Odgłosy nie pozostawiały wątpliwości — w sąsiedniej izbie znajdowała się krowa, jedyna żywicielka tych biedaków.

— Popatrz, Michale — rzekł Andrzej. — To są ludzie, nasi bliźni.

— Chłopi naszymi bliźnimi? — zapytał młody Dantyszek, jak gdyby nie dowierzał słowom młodszego kolegi.

— Skoro Jezus, syn Boga Najwyższego, jako doskonały człowiek, ale nie jako Bóg, którym nie był*, odkupił wszystkich ludzi, to ich też. I w zbawieniu będziemy im równi. Tylko ja uważam, że oni poprzez swoją nędzę zasługują na zbawienie lepiej od nas.

— Masz na myśli braci i siostry szlachtę?

— To są nasi bracia i siostry — rzekł z naciskiem Wiszowaty. — A że o tym nie pamiętamy, to pierwsze źródło zła.

Chłopi najpewniej nic nie zrozumieli z tej wymiany zdań. Andrzej położył na stole srebrny grosz. Zaraz porwała go chłopka i jeszcze długo słyszeli jej głos rzewny, żeby im Przczysta Dziewica pobłogosławiła. Ot, jaka sprawa — pan ich, pewnie arianin, siedzi we dworze, a chłopi, okazuje się, katolicy.

Poszli dalej, do karczmy żydowskiej.

— To jest drugie źródło zła na wsi — rzekł Andrzej Wiszowaty. — Okowita, którą tutaj sprytny Żyd sprzedaje naszym włościanom. Ich żywot ciężki, potworny, grzbiet sływa potem od bata, znoju i roboty, która się nie kończy. Religia, która winna być dla nich pocieszeniem, nie znajduje w ich duszach pożytki, bo jak mają wierzyć w Boga, który ich przeznaczył, wedle szlachty, do gnoju i pługa? Więc topią smutek w okowicie, za którą nie płacą, tylko zapożyczają się u starozakonnego, a ten z czasem

* Słowa Wiszowatego odzwierciedlają w pewnym ogólnym stopniu doktrynę religijną braci polskich, którzy nie uznawali katolickiego dogmatu o Trójcy Świętej, a zatem nie uważali Jezusa za Boga, ale doskonałego człowieka, przez którego ofiarę dokonano się odkupienie ludzkości. Zob. Józef Kozak, „Bracia polscy – Arianie”, Chranów 1982–1986, maszynopis.

przejmuje im dom i wyrzuca z niego całą rodzinę. Nie mówię już o ludziach starszych, których wystawia się na mróz, żeby poumierali szybciej.

— Co mi chcesz powiedzieć?

— Chcę ci rzec, bracie, że tak dalej w Polsce być nie może. Rzeczpospolita oparta jest na nędzy chłopskiej. Chłop nasz ma na gardle but szlachecki, lęka się go, ale i nienawidzi skrycie.

— W innych krajach jest podobnie — odparł Danyszek.

— Otóż mylisz się. — Andrzej Wiszowaty potrząsnął głową. — Na Zachodzie relacja między panami i chłopami oparta jest na czynszu, a nie pańszczyźnie. Chłop umawia się z panem na czynsz i płaci go albo w zbożu, albo w gotowiźnie, albo w zwierzętach lub skórach. I więcej mu zostaje w kieszeni, choć nie powiem, żeby i tam byli zamożni. Bieda wszak, bracie, ma różne oblicza.

— A w Rzeszy?

— W Niemczech straszna wojna trwa od piętnastu lat.

Andrzej Wiszowaty miał polemiczny talent po dziadku Fauście Socynie i był odczytany, ale to nigdy nie przesłoniło mu prawdy o kraju, w którym się urodził. Widział nędzę Rzeczypospolitej i jego perspektywa sięgała dalej niż dwór szlachecki.

— Nie ma większego bielma na oczach szlachty niż strofy Pana z Czarnolasu — rzekł na koniec. — Gdy pisze fraszkę: „Wsi spokojna, wsi wesoła”, zaiste „gra w piszczałkę proste pieśni, a faunowie skaczą leśni”. Kochanowski jest przy tym okropnym bigotem i kłamcą.

Po raz pierwszy Dantyszek zastanowił się, czy Jan Kochanowski bił swoich chłopów. Arianie bowiem swoich włościan nie bili, ale często wyzwalali z poddaństwa, co wywoływało wściekłość katolickiej i kalwińskiej szlachty.

✱

Z czasem te wypadki potajemne stawały się coraz częstsze. W Dantyszku osłabła chęć zgłębiania religii, nudziły go psalmy. Któregoś dnia w owej karczmie, którą pokazał mu jego znakomity kolega ze szkoły, Michał Hieronim spotkał nadzwyczajnego gościa. Przekroczenie granicy i zerwanie owocu zakazanego, jakim było wymknięcie się z internatu szkoły i pójście go gospody, było może grzeszkiem idiotycznym, ale i takie sytuacje mają swoje konsekwencje.

— Młodziku, postawisz staremu żołnierzowi miodu? — zapytał Dantyszka siedzący w cieniu człowiek.

Gdy jego wzrok przywykł do mroku nie w pełni oświetlonego pomieszczenia, chłopak zauważył, że ów jegomość rzeczywiście wygląda jak jakiś stary wiarus. Szabla leżała na stole, odpięta — jak gdyby niechciana, co dla szlachcica stanowiło ujmę. Strój mężczyzny był przyniszczony, ale broń, w tym para pistoletów — w idealnym porządku.

— A jakże godność waćpana?

— Powiem ci, jak postawisz miodu.

— Nie za darmo. Chciałbym od pana szanownego w zamian opowieści — rzekł Dantyszek. — Z daleka podróżujecie?

— Z Niemiec, z wielkiej wojny, młody człowieku. —
Wiarus westchnął. — Jak mnie uraczysz dobrym na-
pitkiem, gardło porządnie przepłuczę trójniakiem, to
powiem ci rzeczy, jakich w onej twojej heretyckiej szkole
nie uczą — rzekł poważnie żołnierz.

— Słowo żołnierza?

— A jakże! Jednak muszę cię ostrzec, żółtodziobie, że
znienawidzisz mnie za to, co usłyszysz.

Dantyszek przystał na to, gdyż po prostu pragnął
prawdziwego świata, w jego mniemaniu wypełnionego
wielkimi czynami rycerskimi i — tak też być mogło —
krwią, rzezią i okrucieństwem. Nie zdawał sobie
sprawy z tego, jak wielkim był głupcem w owym dniu.
Może gdyby nie poszedł akurat wtedy do gospody, nie
postawił napitku owemu najemnikowi... Może jego
życie wyglądałoby inaczej? Ale nie da przecież cofnąć
czasu.

— Żydzie! — zakrzyknął. — Dajże najprzedniejszego
miodu, trójniaka, dla tego tutaj żołnierza!

— Żeby on miał pieniądze! — zachnął się karczmarz.

— Ja płacę — rzekł młodzieniec.

Brzęknęła moneta. Po chwili Żyd przyniósł miód,
pachnący jarzębiną trójniak w glinianym dzbanie. Dan-
tyszek nalał do dwu kubków. W surowo prowadzonej
szkole nauczyciele pozwalali tylko na spożywanie po-
lewki piwnej — piwo w owych czasach było najpow-
szeczniejszym napitkiem. Żołnierz chciwie pociągnął
oba naczynia do siebie, jak widać — nie miał zamiaru
się dzielić.

— Czego oczekujesz ode mnie, młokosie? — burknął.

— Chcę opowieści o wielkiej wojnie w Niemczech, o której słyszymy od lat — rzekł Dantyszek tonem, który wykluczał jakiegokolwiek ustępstwa.

Mężczyzna opróżnił szybko pierwszy kubek.

— Takiś ciekawy?

— Jeśli mi opowiesz, postawię jeszcze przedniego węgrzyna.

Stary wiarus okazał się żołnierzem pułkownika Aleksandra Lisowskiego, któremu król jegomość Zygmunt III Waza pozwolił rekrutować przed laty najemników na pomoc cesarzowi toczącemu wojnę ze zbuntowanymi Czechami. W roku 1618, gdy w Rzeczypospolitej wciąż szlachta głądziła o koronowaniu królewicza Władysława, starszego syna Zygmunta III, na cara Rosji, w Czechach doszło do wypadków, które miały wszystkich zaskoczyć. Oto szlachta czeska wyrzuciła przez okno zamku na Hradczanach najbardziej znienawidzonych przedstawicieli cesarza — Martinica i Slavatę. Wybuchł bunt, który Habsburgowie musieli stłumić. Czesi wybrali jednak nowego króla, elektora Palatynatu, bogatego kraju Rzeszy Niemieckiej, spokrewnionego z królem Anglii. Jednak pod Białą Górą, na przedmieściach Pragi, skończyły się czeskie sny o niezależności. Mimo wsparcia protestantów z Niderlandów buntownicy ponieśli klęskę, a na kraj spadły okrutne represje. Habsburgowie wezwali na pomoc katolickiego monarchę, który wprawdzie realnej władzy w swoim państwie nie miał, ale pomoc dla nich zorganizował.

— To z woli jaśnie oświeconego króla Zygmunta Trzeciego poszliśmy na wojnę — mówił wiarus, tęgo pociągając miodu.

— Tak oficjalnie Rzeczpospolita poszła na wojnę? —
zdziwił się młody człowiek, który wiedział, jak wielką
władzę ma sejm.

— Nie, skądże. Pułkownik Lisowski dostał listy kró-
lewskie na zaciąg żołnierza na wojnę wedle naszego uzna-
nia. Zgłosiłem się bez wahania.

— Co robiliście?

Stary wiarus zaśmiał się szyderczo.

— A cóż można robić na wojnie? Wojna jest po to,
młody człowieku, żeby zaspokoić głód krwi. Morduj, ile
dusza zapagnie. I prawdę rzekłszy, podobało mi się to.
Heretycy, tacy jak ty, jak nas na Śląsku widzieli, to już
z życiem się żegnali, niebożęta.

Zarechotał i ostatnie krople miodu z pierwszego kubka
zniknęły w jego przepastnej gębie. Dantyszkowi wyda-
wało się to wszystko odrażające, ale mimo wszystko czuł
jakąś niewytłumaczalną fascynację tym starym żołnie-
rzem i jego losem. Chciał widzieć i wiedzieć to, co tam-
ten zobaczył i przeżył, a tkwił w Rakowie — świetnym
intelektualnie, ale jednak prowincjonalnym Rakowie —
gdzie największymi budynkami były miejscowy zбір
braci polskich i ich znakomita szkoła.

— Widziałem oblężenie Wiednia przez wojska sied-
miogrodzkie, a potem pognaliśmy wojska siedmiogrodz-
kie aż na ich ziemie. Cesarz płacił, więc siła złego uczy-
niliśmy w imię Boga przeciw ludziom, którzy też czynili
zło w imię tegoż Boga.

Tu żołnierz przerwał, znów napił się miodu — już z dru-
giego kubka — i zaczął snuć opowieść o wojnie, która
przekraczała wielkie wyobrażenie o okrucieństwie, jakie

jedni mogą zadać innym. Mówił więc, że w służbie Brabantczyka, hrabiego Tilly, wojska katolickie spaliły Magdeburg* i mordowały mieszkańców przez całą noc. Nie było niewiasty, która nie została by zgwałcona przez żołdaków cesarskich, nie miało znaczenia, czy były to dziesięcioletnie pobożne dziewczynki, czy osiemdziesięcioletnie staruszki.

Dantyszek nie mógł tego znieść.

— Dlaczego to czyniliście?

— Bo to były heretyczki. — Żołdak wrzucił ramionami. — Jednak wskutek tego, co uczyniła armia cesarska, do wojny weszli Szwedzi, o czym również musiałeś, waszmość młodziku, słyszeć.

Jakże mógłby nie słyszeć! Zanim Szwedzi weszli do wojny na teren Niemiec, musieli zająć się Rzeczpospolitą, sojuzniczką habsburską wiernie podążającą wszędzie za rydwanem domu austriackiego. Zajęli więc miasta na polskim Pomorzu, w tym przebogaty i wspaniały Gdańsk, liczący w owym czasie sześćdziesiąt tysięcy dusz. Wprawdzie potem hetman Koniecpolski i jego husaria pokieroszowały króla szwedzkiego i jego rajtarię pod Trzcianą — jakiś polski husarz nawet o mały włos nie nabił Gustawa II Adolfa na koncerz! — ale Szwedzi zrobili swoje. Do wielkiej wojny w Rzeszy Rzeczpospolita, związana przez idiotyczny sejm i wpatrzona ślepo w sprawy rosyjskie albo tureckie, czyli na Wschód, nie weszła. Ale żołnierzy najemnych po cichu pozwalała wysyłać.

* Rzeź Magdeburga podczas wojny trzydziestoletniej miała miejsce w nocy z 20 na 21 maja 1631 roku. Z 25 tysięcy mieszkańców uratowało się tylko 5 tysięcy, reszta spłonęła lub została wyrżnięta bez litości przez armię cesarską.